

O BIEDNYCH NIKT NIE CHCE SŁUCHAĆ
— ROZMOWA Z PROFESOR ELŻBIETĄ TARKOWSKĄ

Adam Leszczyński: *Mamy w Polsce mity o biedzie?*

Elżbieta Tarkowska: Bezrobotny to leń i pijak! Bardzo często ludzie myślą, że praca jest, każdy może pracować, tylko mu się nie chce i dlatego jest biedny.

A to nieprawda?

Nieprawda.

Sami biedni też tak o sobie myślą?

Nie, absolutnie, chociaż mówi im się to na każdym kroku. Bieda w Polsce jest związana z bezrobociem i wielodzietnością. Kiedy takie rodziny zwracają się o pomoc, nieraz słyszą: „Trzeba było nie mieć tylu dzieci”. Bieda w Polsce — jak wszędzie — jest naznaczona moralnie. To stygmat, który ciągnie się za ludźmi.

Ilu jest w Polsce biednych?

Mamy różne miary ubóstwa. Minimum egzystencji to granica zaspokojenia najbardziej podstawowych potrzeb człowieka, takich jak jedzenie, ubranie czy dach nad głową. To niewiele ponad 1000 zł miesięcznie na rodzinę z dwojgiem dzieci. 12% Polaków, czyli ponad 4 mln, żyje poniżej tej granicy. Ponad połowa żyje poniżej minimum socjalnego — dziś wynosi to nieco ponad 800 zł miesięcznie dla dorosłej, samotnej osoby. To jednak raczej miara zbliżania się

do ubóstwa niż samego ubóstwa, bo minimum socjalne zakłada zaspokojenie potrzeb także społecznych — na przykład kulturalnych.

Jest też miara ubóstwa relatywnego — dochód w rodzinie jest o połowę niższy od średniej dla wszystkich gospodarstw. Tak małe dochody ma co piąty Polak. Są też wskaźniki ustawowe — 19% Polaków ma prawo do ubiegania się o pomoc społeczną, żyje więc z punktu widzenia prawa w ubóstwie.

Gospodarka rośnie o 4–5% rocznie. Skoro jesteśmy coraz bogatsi, biednych powinno ubywać?

Po roku 1989 wskaźniki ubóstwa stopniowo rosną. Spadły na krótko w połowie lat dziewięćdziesiątych. Nawet w ostatnich latach biednych przybyło, chociaż bezrobocie zaczęło się zmniejszać. Co prawda najświeższe dane z badania „Diagnoza społeczna 2005” pokazują, że stopa ubóstwa w ostatnich latach w Polsce zmniejszyła się. Jej autorzy posługiwali się jednak jeszcze innymi wskaźnikami i badali raczej niedostatek niż ubóstwo. Używali tych terminów zamiennie, a to nie jest to samo.

Każdy by chciał, aby ubóstwo się zmniejszało. Trzeba jednak poczekać na wyniki badań, porównywalnych na przykład z wcześniejszymi danymi GUS.

Czy bieda jest zawiniona?

Zygmunt Bauman pisał, że we współczesnej kulturze biedę postrzega się jako niebezpieczną. Dlatego kojarzy się z patologiami: przestępczością, narkotykami, alkoholizmem. Alkoholizm może być przyczyną biedy, ale równie dobrze może być skutkiem utraty pracy i braku środków do życia. Te zjawiska są często w skomplikowany sposób powiązane.

Osiem lat temu prowadziłam badania z rodzinami żyjącymi w trudnych warunkach. Obejmowały one trzy pokolenia: dziadków, rodziców i dzieci. Można było sięgnąć nawet do pierwszej wojny światowej i odtworzyć historię biedy w kręgu rodziny. Często byli biedni „od zawsze” — także w czasach PRL.

W tym roku wróciłam do kilku rodzin, żeby dowiedzieć się, co stało się z dziećmi. W sumie jest raczej optymistycznie — niektóre znalazły pracę. Większość pracuje na czarno, bo legalnej pracy w ich okolicy nie ma, część się uczy.

Bieda jest cykliczna, czyli pojawia się w pewnych fazach życia: w dzieciństwie, potem dotyka młode rodziny z małymi dziećmi, wreszcie ludzi starych i bezradnych. Wtedy pojawiają się klasyczne sposoby na przetrwanie: dolewana do mleka woda, kartofle i kapusta jako podstawa pożywienia. Kiedy dzieci podrosną, jest już zwykle lepiej, bo dorabiają od najmłodszych lat. W maju, kiedy zaczyna się zbiór ślimaków, klasy pustoszeją. W czasie wakacji pracują, zbierając zioła, grzyby, truskawki. Gdy dziecko jest już większe, to nie tylko przestaje być ciężarem, ale coś przynosi do domu.

Cały czas pokutuje u nas stereotyp biednego emeryta. W PRL emeryci oczywiście należeli do najbiedniejszych. Dziś jednak bieda nie wiąże się w Polsce ze starością i chorobą, ale z bezrobociem i wielodzietnością. Najbiedniejsze są rodziny, w których głowa rodziny ma 35–40 lat.

Czy różnie reagują na biedę mężczyźni i kobiety?

Oczywiście. Kobieta nie ma wyjścia, musi nakarmić dzieci. Kiedy mąż traci pracę, najczęściej załamuje się. To naruszenie jego...

Męskości?

Rzeczniej roli głowy rodziny. Zwłaszcza w rodzinach tradycyjnych, gdzie to przede wszystkim mężczyzna powinien zarabiać. Niektórzy oczywiście szukają pracy, jeżdżą, dowiadują się, inni załamują się i piją. Jeszcze inni starają się robić coś w domu.

Mężczyzna nie musi nakarmić dzieci?

On ma przynieść środki do życia. Kiedy ich nie ma, jego świat się rozpada. Kobieta staje się filarem rodziny. To nie jest tylko polska specyfika. W nędzy kobieta przejmuje większość ról domowych. Ona „żebrze” o pomoc. Klientami pomocy społecznej są głównie kobiety.

Jeden z pani respondentów — ojciec rodziny — mówi o propozycji pomocy ze strony księdza: „No to posłałem kobietę, bo żem się wstydzil”.

Pamiętam tę rodzinę. To był bardzo dobry ojciec. Nie pił. No, może odrobinię. Jeździł do pracy na rowerze wiele kilometrów w deszczu i śniegu. Ale starania o pomoc to nie jest męska rola. Oczywiście, kobiety odczuwają je jako upokarzające. Bardzo dużo o tym mówią. Zwykle też to na ich głowie są domowe obowiązki. Bo to nie jest tak, że mąż, jak siedzi w domu, to gotuje. Zdarzają się i tacy, ale wyjątkowo. W najlepszym wypadku naprawi dach albo przekopie ogródek, bo to jest jego rola. A ubranie i wykarmienie rodziny to odpowiedzialność kobiety.

Czy są różne strategie przetrwania biedy? Czy na przykład wykształceni zachowują się inaczej?

Nie przypominam sobie badań dotyczących ludzi wykształconych. Do niedawna wykształcenie chroniło przed ubóstwem, chociaż dziś problem bezrobotnych absolwentów jest dramatyczny. Rodziny wykształconych mają zwykle większe zasoby — z czasów, kiedy powodziło im się lepiej. Odczuwają jednak także większe poczucie degradacji. Widać to dobrze w pamiętnikach bezrobotnych. Kobieta z wyższym wykształceniem, która nie może znaleźć pracy w małym miasteczku, cały czas słyszy: „Jak to, masz studia, a nie możesz znaleźć pracy? Co jest z tobą nie tak?”. To potworny ciężar emocjonalny.

Dlaczego biedni często żyją ponad stan?

Tu chodzi o utrzymanie poczucia własnej wartości — wobec dzieci, siebie, rodziny. To bardzo ważna potrzeba ludzka. Pamiętam przypadek — nie z moich badań — kobiety, która przyjechała do Warszawy żebrac na sukienkę do komunii dla córki.

Socjologowie rozróżniają aktywne i pasywne strategie radzenia sobie z biedą. Oszczędzanie — to pasywne. Aktywne — robię coś, szydełkuję, sprzedaję. Jak dobrze pójdzie, może z tego wyrosnąć własna firma. Ale zwykle to tylko strategia przetrwania — zrobiłam sweter na drutach, żeby kupić podręczniki dla dziecka.

Czy bieda skłania do przestępczości? Czy biedni myślą: społeczeństwo źle mnie potraktowało, więc mogę naruszyć reguły gry?

Ludzie biedni, podobnie jak niebiedni, mają różne systemy wartości. Przyzwolenia na kradzież zwykle nie ma, chociaż niektórzy uważają, że jak człowiek jest głodny, to ma prawo ukraść. Inni jednak mówią, że „nigdy cudzego nie wezmą”. Szeroko akceptuje się na przykład przemyt. A w byłym PGR zetknęłam się z opinią, że jak brali ryby ze stawów — jeszcze państwowych — dla siebie, to było w porządku. Gdy na sprzedaż — to już złodziejstwo. Ale to nie jest związane z biedą, tylko z pewnym dziedzictwem społecznym i kulturowym PRL czy jeszcze wcześniejszych czasów. Istnieją oczywiście skupiska biedy, w których na przykład powstają gangi młodzieżowe, i tam przyzwolenie na łamanie prawa jest większe.

Nie ulega wątpliwości, że i bieda, i bogactwo zamykają się — bogaci robią z przestrzeni czynnik wykluczający. Ze starych, nieremontowanych domów i osiedli miejskich wyprowadzają się ci, których na to stać. Zostają biedni. Także z PGR-ów ludzie nie mogą się wyprowadzić, bo nie mają jak. Młodzi uciekają, starsi są przywiązani do miejsca.

Robiłam kiedyś badania w bloku zbudowanym tuż przed likwidacją PGR-ów. Ludzie zostali sami na odludziu, do którego dziś nie ma nawet jak dojechać. Są jeszcze za młodzi, żeby mieć emerytury. Na razie mają jeszcze dość sił, żeby zajmować się na przykład zbiorami ziół, ale co będzie później?

Co możemy zrobić z biedą? Czy rozdawanie pieniędzy może ją zlikwidować?

Pieniądzy „do rozdawania” jest bardzo mało. Trzeba interweniować w dramatycznych sytuacjach, przede wszystkim w przypadku głodnych dzieci. To problem nawet w rodzinach, w których ojciec i matka pracują — tyle że każde ma po 800 zł, a dzieci jest ośmioro.

Trzeba działać z myślą o przyszłości — wyrównywać szanse dzieci z ubogich środowisk. Bardzo ważne są przedszkola. Kiedy dziecko z rodziny biednej — gdzie rodzice są niewykształceni i biegają za zarobkiem cały dzień — pójdzie do szkoły, nie odróżnia kółka od kwadracika i już na wejściu dostaje etykietkę głupszego. Ale przedszkola na wsi się likwiduje. Trze-

ba dawać stypendia i zapewniać dzieciom podręczniki. Kiedy dziecko nie ma słownika angielskiego, słyszy od nauczycielki: „Nie chciało ci się przynieść”. Jednak dziecko się nie przyzna, że na słownik rodziny nie stać, bo się wstydzi.

Reforma edukacji przyniosła wiele pozytywnych zmian, zwłaszcza na wsi. Dzieci dojeżdżające do szkoły są jednak w gorszej sytuacji — nie mogą zostać na zajęcia dodatkowe czy wyrównawcze, bo autobus odjeżdża. Ich szanse zmniejszają także korepetycje, które stały się normalnym elementem systemu edukacji. Za moich czasów brali je ci, którzy mieli kłopoty z nauką. Dziś to sposób na uzupełnienie edukacji. A dziecko z biedniejszej rodziny nie ma do nich dostępu. Jeżeli publiczny system edukacji funkcjonuje w oparciu o korepetycje, to wspiera bogatszych i dyskryminuje biedniejszych.

Z moich badań wynika, że jeżeli młodzi ludzie z rodzin żyjących w trudnych warunkach uczą się w szkołach średnich, to daje to nadzieję całej rodzinie. Ci młodzi ludzie wyjeżdżają potem do Niemiec, zarabiają pieniądze, pracują i studiują zaocznie, pomagają sobie wzajemnie... Jaka jednak będzie przyszłość ich rodziców, którzy nie wypracują emerytur? Nie wiem. Nikt nie wie.

A czy bieda skłania do protestów?

Często wymieniają odpowiedzialnych z imienia i nazwiska: „Kto zlikwidował PGR-y, to powinien wisieć”. Od jednej starej kobiety usłyszałam nawet: „Już się wraca ta sanacja”. Jednak protestują górnicy, którzy do najbiedniejszych nie należą.

PRL wspominają lepiej?

Lepiej. Bo była praca. Ci pięćdziesięciolatkowie z PGR oczywiście nie są zdolni do każdej pracy — tylko do prostej, fizycznej. Dziś mówią, że chętnie by kopali ziemię czy przewalali rowy, byle tylko praca była.

A czy biedni chcą współpracować ze sobą?

Solidarność wśród biednych to mit. Tłumaczyli mi w PGR-ach: wszyscy są biedni, ale nie wszyscy jednakowo. Zazdrości się sąsiadowi, że ma zasiłek. To środowiska zdeintegrowane. Niektórzy się w pewnym sensie przystosowali. Nauczyli się grania z systemem — wykorzystywania zasiłków i pomocy. Jakoś żyją.

Skoro nie wierzą w protest, to może w kapitalistyczny mit? Że mogą zmienić los, jeśli będą ciężko pracować?

Ale nie ma pracy! We wszystkich wywiadach i pamiętnikach bezrobotnych pojawia się wołanie o pracę. Polacy — nie tylko biedni — uważają, że do sukcesu dochodzi się przez spryt i znajomości. Trzeba mieć znajomości, żeby cokolwiek załatwić — to bardzo silnie zakorzenione przekonanie. To reakcja na nie-

przewidywalność warunków życia. Ustroje się zmieniają, a nieformalne, międzyludzkie kontakty pozostają.

Takie postawy ludzie przyjmują wówczas, kiedy w społeczeństwie jest bardzo duży deficyt jakichś zasobów — na przykład bardzo mało pracy. Wtedy tracimy zaufanie do systemu dystrybucji i próbujemy go obchodzić. Bezrobotni nie myślą, że wystarczy wysłać świetne CV, żeby dostać pracę w urzędzie, tylko że trzeba być kuzynem kierownika.

Kształtuje się mechanizm, który pewien amerykański antropolog opisał na podstawie północnych Włoch i nazwał „amoralnym familizmem” — inaczej oceniamy swoich, inaczej obcych. Swoim pozwalamy na więcej. To nie musi być tylko rodzina, ale cały łańcuszek znajomych. Oni są naszą ostoją w nieprzewidywalnym świecie. W ramach tych kontaktów dochodzi do wymiany przysług, chociaż to nie klasyczny układ patron–klient. Młode pokolenie ma już trochę inne wzory — jedzie na Zachód, samo zdobywa pracę. Może oni coś zmieniają.

Polska staje się coraz bogatsza, a biednych przybywa. Może bieda mało nas obchodzi?

Na pytanie, dlaczego ludzie są biedni, odpowiedzi bywają dwojakie. Jedni uważają, że w ubóstwo spychają przede wszystkim okoliczności zewnętrzne i makrospołeczne: kryzysy, wojny, recesje, restrukturyzacja gospodarki. Drudzy widzą źródło nieszczęścia w cechach ludzi — bo lenie, pijacy, niezaradni, nie chce im się pracować, nieodpowiedzialni. W obu sytuacjach bieda jest bardzo silnie oceniana moralnie.

To, którą z tych odpowiedzi wybieramy, zależy między innymi od miejsca w strukturze społecznej, wykształcenia i wieku. To wychodzi we wszystkich badaniach — im kto jest bogatszy, młodszy i lepiej wykształcony, tym częściej uważa, że biedni sami są odpowiedzialni za swoją biedę. Im ktoś jest niżej w strukturze społecznej, tym bardziej dostrzega źródło biedy w czynnikach niezależnych od człowieka. Tę samą różnicę widać w ocenianiu bogactwa.

Bogaty uważa, że zapracował na własny sukces, a biedny, że życie go skrzywdziło?

To pewne uproszczenie, ale jest taka prawidłowość. Na to nakłada się jeszcze wpływ wiary i tradycji. W społeczeństwach protestanckich ważna jest indywidualna odpowiedzialność — w tym także za powodzenie finansowe. W tradycyjnym, katolickim społeczeństwie — a w naszej kulturze obecność tradycji jest duża — awans był trudny, a role społeczne były rozdane właściwie już w momencie urodzenia człowieka.

Zarazem bieda była czymś pozytywnym. Biedny był pośrednikiem między Bogiem a ludźmi. Robiono analizy przysłów polskich — wychodzi z nich silna pochwała ubóstwa i nagana bogactwa. To się oczywiście zmieniło i nadal zmienia — ludzie wykształceni i młodszy, lepiej zarabiający, są skłonni pozytywnie oceniać bogactwo i sposób, w jaki się je zdobywa.

Każdy jest kowalem własnego losu, a biedny jest sam sobie winien. Czy tak myślący ludzie są w ogóle wrażliwi na biedę?

Bieda nie zaczęła się w 1989 roku wraz z upadkiem PGR-ów i zamykaniem fabryk. Była zawsze. W PRL jednak nie wolno było o niej mówić. W dwudziestoleciu międzywojennym, po pierwszej wojnie światowej i w czasach wielkiego kryzysu, bezrobocie i nędza były ogromne. O biedzie w PRL natomiast wiemy niewiele, badania były ograniczone, nie publikowano wyników, a zamiast słowa „ubóstwo” używano eufemizmów. Także skala zjawiska była dużo mniejsza. Dopiero od 1989 roku możemy mówić o biedzie bez cenzury. Czy tego słuchamy? Nie wiem. Na pewno wzruszamy się przy okazji wigilijnej świeczki Caritasu.

Może mam skrzywioną perspektywę, bo jako socjolog od wielu lat zajmuję się biedą, ale wydaje mi się, że jako społeczeństwo za mało o niej wiemy. We wrześniu wygłaszałam na konferencji referat na temat życia bez pracy, a bieda w Polsce jest bardzo silnie związana z bezrobociem. Cytowałam pamiętniki bezrobotnych i wywiady. To bardzo poruszające materiały. Jeden z kolegów powiedział w dyskusji, że uprawiam socjologię lamentującą. Wydaje mi się, że często wypieramy wiedzę o biedzie ze świadomości. Obserwuję karierę medialną, jaką zrobiła „Diagnoza”, i zastanawiam się, czy to też nie świadczy o tym, że nie chcemy słuchać o biedzie. Każdy woli dobre wiadomości.

Słyszałam, jak specjaliści kwestionowali sposób zbierania danych przez GUS. Budziły one opór wtedy, kiedy mówiły o wysokiej stopie ubóstwa wśród dzieci. Zaś „Newsweek” pisze: „nikt jeszcze nie opisał dokładnie polskiej biedy”. Opisał. Tylko się o tym nie mówi, bo chyba nikt nie czyta wyników naszych badań.

Jeżeli uczeń w szkole dowiaduje się o biedzie, czytając opis warszawskiego Powiśla z XIX wieku w *Lalce* Prusa, to coś z edukacją jest nie w porządku. To kompletna abstrakcja. Ubogie dziecko nie może tego w żaden sposób odnieść do własnego doświadczenia. W efekcie postrzega je jako piętnujące i się go wstydzi.